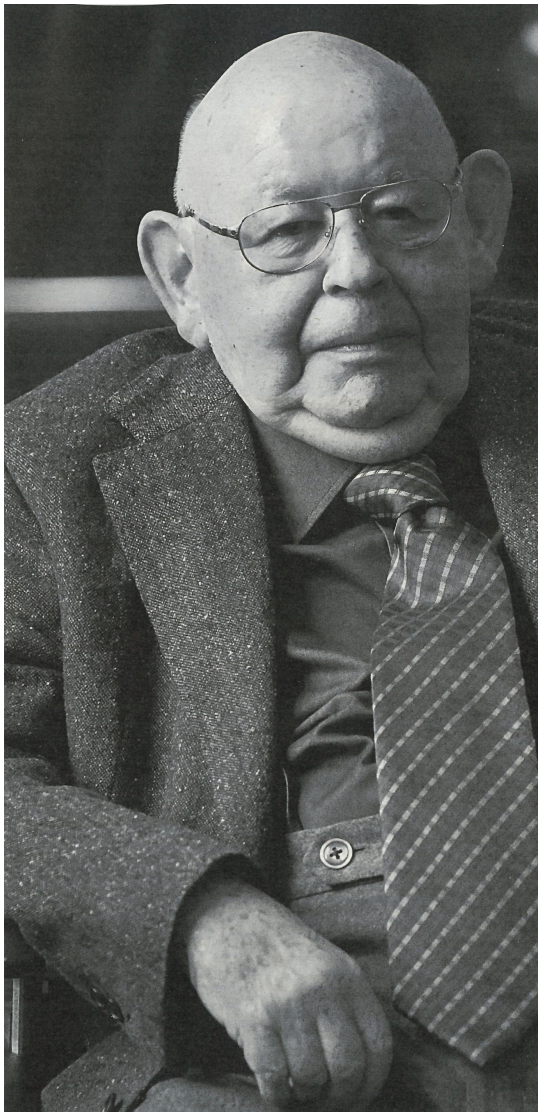


Piotr Semko, dorzeczy, nr 41/2022 i 42/2022, 10-23.10.2022 r.

Na czym polegał fenomen Jerzego Urbana? Co wyróżniało go spośród wielu ludzi, którzy kierowali propagandą obozu komunistycznego w Polsce?

Nawet na tle korowodu postaci z kolejnych ekip PRL był kimś wyjątkowym - człowiekiem ostentacyjnie zafascynowanym złem. Mając za sobą aparat przemocy, nie tylko zwalczał ofiary systemu, lecz także z wyjątkowo osobistym zaangażowaniem szydził z nich i ich obrażał.

Łączyło się to w przedziwny sposób z fascynacją dla siły władzy i wrogością dla tego, co uważał za polski nacjonalizm i klerykalizm. Za jego życia ogromną popularność w Polsce zyskały dwa fenomeny: szacunek dla Jana Pawła II i masowe poparcie dla ruchu Solidarności. Oba te symbole traktował jako osobiste zniewagi. Rozmaite negatywne cechy, które połączył w sobie, występowały u innych ludzi aparatu PZPR, ale nigdy w tak upiornym zestawieniu. Zawsze podkreślał, że nie jest członkiem PZPR, a jedynie sojusznikiem władzy. Jeśli szukać jakichś analogii, to nasuwa się postać Jerzego Borejszy, który niezwykle sprawnie dyrygował propagandą ekipy Bieruta tuż po wojnie. Borejsza żył stosunkowo krótko, pozował na idealistę i nigdy nie epatował publicznie osobistym cynizmem. Z kolei gierkowski szef Radiokomitetu Maciej Szczepański wykazywał podobny zmysł medialny co Urban, ale nigdy nie wychodził z cienia. Jeżeli Urban kogoś przypominał, to w największym stopniu był to Daniel Passent, wieloletni dziennikarz „Polityki". Jednak nawet Passent cofał się przed tak wyzywającym czerpaniem satysfakcji z tego, że ludzie bywają podli i że można nimi manipulować.

JAK GOEBBELS

Ten wyzywający wręcz bezwstyd kłamania i brutalność wmawiania społeczeństwu, że jest bezsilne wobec bezkarności władzy, wyróżniały Urbana spośród innych propagandzistów systemu.

I w tym kontekście jedyną trafną analogią pozostaje postać Josefa Goebbelsa, którą zresztą już dawno temu połączył z osobą Jerzego Urbana polityk prawicy Ryszard Bender. Zarówno Goebbels, jak i Urban działali na rzecz swoich patronów nie jako niewolnicy, ale jako swoiści partnerzy. Goebbels i Urban wiedzieli, jak kłamać, a systemy, które za nimi stały, wykorzystywali tylko jako swoiste wzmacniacze dla swych pomysłów.

Żywot Jerzego Urbana jest też jednak dobrym przykładem meandrów lewicującej inteligencji z silnymi kompleksami i fobiami wynikającymi z historii Polski w XX w. Urban był dzieckiem swoiście rozumianej idei postępu, racjonalizmu i lęku przed szowinizmem narodowym (nie tylko polskim, lecz także np. izraelskim]. Jest wreszcie Urban dobrym przykładem tego, jak jego pokolenie odpowiedzialne za stan wojenny skutecznie wpłynęło na okres po 1989 r. - w sprawie wymazywania pamięci o szpetocie rządów Jaruzelskiego. Sam pamiętam, jak po przybyciu do telewizji w 1991 r. ze zdumieniem stwierdziłem, że większość nagrań z konferencji prasowych Urbana jako rzecznika prasowego rządu PRL została wykasowana. Nawet i bez tych „działań czyszczących" (nie były trudne, gdyż Urban pod koniec PRL został szefem Radiokomitetu) o przyblednięciu jego wstrętnej roli w stanie wojennym zadecydował fakt, że lata 80. w polskim kinie przedstawione są w bardzo niewielkiej liczbie filmów.

Wydawałoby się, że postać rzecznika rządu PRL była idealnym tematem na jakąś wielką produkcję filmową, a jednak żaden znany reżyser nie sięgnął po ten temat. W tej sytuacji nic dziwnego, że młodemu pokoleniu jego osoba niewiele mówi albo powtarza ono slogan, że „Kurski wielokrotnie prześcignął Urbana", albo wreszcie kojarzy wielkiego skandalistę z zabawnym dziadkiem, którego filmiki oglądali na YouTube.

Ta swoista amnestia moralna dla Urbana nie byłaby możliwa, gdyby nie wsparcie ze strony Adama Michnika, który nie krył swoich bliskich relacji z czołowym propagandzistą stanu wojennego. To Michnik nadawał ton, który za nim powtarzała duża część także postopozycyjnej inteligencji, protestująca przeciwko „pastwieniu się" nad rzekomo pokonanym i leżącym przeciwnikiem Solidarności.

KORZENIE PERWERSJI

Jerzy Urban - pierwotnie Jerzy Urbach - urodził się 3 sierpnia 1933 r. w Łodzi w rodzinie bogatych przedsiębiorców o korzeniach żydowskich. W chwili wybuchu wojny miał niecałe siedem lat. Rodzina przez pierwsze dwa lata wojny przebywała we Lwowie pod zaborem sowieckim, gdzie ojciec pełnił dosyć ważną funkcję miejskiego urbanisty. Oboje rodzice przyjęli sowieckie obywatelstwo. Jak wspominał potem Urban: „Dzięki temu nie podlegaliśmy zsyłce na Sybir, a nawet mogliśmy skorzystać z ewakuacji, kiedy nastąpił niemiecki najazd. Nie zdążyliśmy jednak na odjazd ciężarówki i tak zostaliśmy we Lwowie, do którego na przełomie czerwca i lipca 1941 r. weszli Niemcy".

Rodzina Urbana ukrywała się poza gettem, na tzw. aryjskich papierach. Urban, opisując środowisko społeczne, w którym przed wojną sytuowali się jego rodzice, pisał: „Grupowało ono osoby wykorzenione z żydostwa, ale też zachowujące odrębność od ogółu polskiego społeczeństwa. Nikt ze znajomych nie był przechrztą, nikt nie był również - jak to w czasie okupacji określano - »aryjczykiem«, katolikiem czy rdzennym Polakiem o słowiańskich korzeniach. Wszyscy żenili się i rozchodzili w obrębie tej postżydowskiej grupy [...]. Oni sami nie mówili o sobie »jesteśmy Żydami«, raczej o katolikach - »Pola- cy«. W ten sposób podkreślali własną odrębność, chociaż czuli się Polakami w sensie kultury, języka, zainteresowań politycznych, kibicowania literaturze czy filmowi. Prasy jidysz nie czytali, do teatru żydowskiego nie chodzili - nie znali języka, to jest świat, który porzucili i którym gardzili".

Wspominał także: „Mój ojciec nigdy nie otrząsnął się z wojennej traumy. Mnie ona nie dotknęła. Ja uważałem okres okupacji za czas ciekawy, pełen przygód, barwy i urozmaiceń".

W długim wywiadzie dla miesięcznika „Midrasz” Urban w ogóle pominął ogrom wyrzeczeń i nerwów, którymi jego rodzice płacili za długie lata wojennego ukrywania się. Rodziców wspominał jako godnych pożałowania, znerwicowanych życiowych rozbitków, którzy nigdy już nie odzyskali poziomu życia, którym cieszyli się przed wojną. Ten rys emocjonalnego okrucieństwa wiele mówi o tym, jak wojna fatalnie wpłynęła na postrzeganie świata przez młodego ocaleńca z Holokaustu.

Jednocześnie daje do myślenia inny fragment jego wspomnień dla „Midrasza”: „To musiał być luty 1945 r. - w Łodzi dominowali jeszcze Niemcy traktowani jako podludzie. Chodziłem, pamiętam, po niemieckich pałacach, które dla mnie otwierano. Szabrowałem zabawki po dzieciach niemieckich fabrykantów. To była wielka przygoda".

Kto otwierał dla 12-letniego wówczas Urbana poniemieckie domy? Można domyślić się, że były to jakieś patrole milicji. Czyżby wtedy Urban uświadomił sobie, że lepiej trzymać z wyposażoną w broń władzą, aby poczuć triumf i wszechwładzę? Czy to wtedy nie pojawiło się u niego przekonanie, że lepiej stać po stronie silnych, a nie stać wśród ofiar?

Młody Jurek szybko też przekonał się, że po wojnie nie potrzeba już utożsamiać się z katolicyzmem dla „wtopienia się w tłum”. Jak wspominał: „Nauka religii katolickiej w mojej szkole była obowiązkowa [...]. Pewnego dnia ksiądz katecheta wyrzucił mnie za drzwi, ponieważ ja, stojąc machinalnie, wodziłem ołówkiem po ławce, a on to uznał za lekceważenie modlitwy. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że można nie chodzić na religię, jeśli się od rodziców przyniesie zaświadczenie, że sobie tego nie życzą. Dostałem taki papier i przyniosłem go do szkoły. Wówczas zaczęły się szalone wobec mnie zabiegi - ksiądz przepraszał, prosił, bym go wycofał - zapewne w kurii obawiano się stworzenia precedensu. Byłem ponoć pierwszą osobą w Łodzi, która odmówiła chodzenia na religię. Ja się jednak uparłem i nie chodziłem”.

W 1950 r. rodzina Urbana przeniosła się do Warszawy i Urban rozpoczął aktywną działalność w komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej. I znów cytat ze wspomnień: „Tutaj wpadłem w wir spraw nie tylko organizacyjnych. Będąc 15-latkiem, uzyskałem władzę - to było po prostu prawdziwe życie [...], bardzo szybko, bo już po maturze zacząłem pracować w prasie".

Około 1955 r. Urban trafia do tygodnika „Po Prostu", który stał się awangardą zmian. W wywiadzie rzece z Martą Stremecką wydanym w 2013 r. Urban z chęcią akcentował ten okres swojego życia jako czas walki o prawdziwy socjalizm.

W tekstach zwalczał układziki partyjne na prowincji, szydził z absurdów w zarządzaniu fabrykami, walczył też np. z religijnym kołtuństwem na wsi. W wywiadzie Marta Stremecka psuje ten pełen samozadowolenia Urbana tok wspomnień - przytaczając jeden z artykułów, wygrzebany z ówczesnych numerów „Po Prostu". Urban atakował w nim niemoralne prowadzenie się studentów w jednym z akademików, dramatycznie nazywając rozwiązłe spotkania orgiami i dziwiąc się, że do czegoś takiego dochodzi w socjalistycznym domu akademickim. Pisał, że tak mogą zachowywać się studenci w amerykańskich kampusach, szukający w ten sposób szczęścia z braku socjalizmu, ale nieobyczajność u socjalistycznych studentów musi zdumiewać.

Jedyne, co Urban w tej sytuacji potrafił odpowiedzieć Stremeckiej, to niepewne: „A tego to nie pamiętam”. Późniejszy patron niestroniącego od quasi-pornograficznych akcentów tygodnika „Nie” musiał poczuć się zakłopotany wypominaniem mu roli stróża studenckiej moralności.

Jesienią 1956 r. Urban wyjechał na wyjazd reporterski do Izraela, który prowadził wówczas wojnę przeciwko Egiptowi. Po powrocie zaskoczył bardzo krytycznym wobec państwa żydowskiego tekstem, w którym akcentował szowinizm syjonistów i antypolskie uprzedzenia mieszkańców nowego państwa. Tekst zszokował wszystkich jego znajomych. Koledzy o żydowskich korzeniach byli urażeni kpinami z syjonizmu, a innych raziło przedstawianie Izraela jako amerykańskiej kolonii na Bliskim Wschodzie. Szybko jednak kontrowersje wokół jego tekstu zeszły na drugi plan. „Po Prostu" zostało przez ekipę Gomułki po cichu przeznaczone do likwidacji. Pod koniec wakacji 1957 r. doszło do kluczowego posiedzenia zespołu redakcyjnego. Jedni wezwali, by na chwilę stępić ostrość linii redakcyjnej, aby przetrwać i ratować substancję, a inni - tak jak Urban - wezwali, aby nie ulegać, dać się rozwiązać i odejść z honorem. To bodaj najbardziej ideowe zachowanie Urbana w całym jego życiu, bynajmniej jednak nie zaprowadziło go to na demonstracje w obronie rozwiązanego „Po Prostu". Wraz z Eligiuszem Lasotą, szefem tygodnika, wołał objechać rejon walk samochodem i oglądać utarczki milicji ze studentami zza szyb pojazdu.

NA ZIELONEJ TRAWCE

Po rozwiązaniu „Po Prostu" Urban miał nieformalny zakaz pisania w mediach. Był na tyle sprawny i inteligentny, by szybko nauczyć się omijać zakazy. W wywiadzie z 2013 r. na pytanie, jak mu się wtedy żyło, odpowiedział: „Wpierw skromnie, ale w krótkim czasie bogato. Pisałem w konspiracji, nie pod swoim nazwiskiem. W łódzkich »Odgłosach« ukazywał się co tydzień mój felieton, który nazwiskiem firmował naczelny tego pisma. Czyli on miał sławę, a ja pieniądze".

Urban pisał wtedy książki - jak to się mówiło - „na murzyna". Potrafił sobie załatwić pisanie anonimowych recenzji czy tekstów, które obdarzali swoim nazwiskiem usłużni koledzy. Dumni, że w ten sposób pomagają prześladowanym weteranom rozwiązanego „Po Prostu". „Dało mi to poczucie samodzielności - wspominał po latach. - Wiedziałem, że zawsze sobie poradzę. Nie lękałem się żadnych zwierzchników i okoliczności. To czas, kiedy jestem od władzy kompletnie niezależny, a pomimo to prosperuję materialnie dobrze. Kołuję władzę".

Młody reporter stawał się wtedy znany na warszawskich salonach towarzyskich. Ożywiał imprezy, ceniono go za zjadliwy, drapieżny humor, a jednocześnie miał martyrologiczną sławę ofiary prześladowań Gomułki. I to nie on, życiowy rozbitek, prosił kolegów o pożyczki, tylko na odwrót. Potrafił łaskawie pożyczyć „parę stówek". Nic dziwnego, że lgnęli do niego koledzy i koleżanki.

Korzystając z tej aury quasi-dysydenta, Urban bynajmniej nie zamierzał pchać się w kierunku nielicznej jeszcze grupy opozycjonistów. Z rozwiązania „Po Prostu" wyciągnął dla siebie ważny wniosek. Z komunistyczną władzą lepiej nie zadzierać, bo ta potrafi odwinąć się tak, że może zaboleć. Być może dawało o sobie znać wspomnienie z lat okupacyjnych, które kazało trzymać się z daleka od narażania się na więzienie i represje. Przyszły kolega redakcyjny Urbana w „Polityce” - Daniel Passent - dokładnie tak samo tłumaczył się po latach z tego, dlaczego trzymał się z dala od neomarksistowskiej opozycji spod znaku Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Urban wspominał: „Trwale zaszczepiłem się wtedy przeciwko wszelkim utopijnym krzykliwym próbom naprawiania świata. [...] Po prostu to był czas życia w jakimś amoku oderwanym od rzeczywistości, tylko że ja sam przed sobą zrobiłem rozrachunek i nie zamierzałem popełniać tego błędu”.

W marcu 1968 r. na chwilę wróciły lęki związane z żydowskim pochodzeniem. Urban w wywiadzie dla „Midrasza” w 2010 r. wspominał, że tak przejął się groźbą pogromowych nastrojów, iż wyjechał z dala od Warszawy - do Kotliny Kłodzkiej. Gotowy był przejść granicę do Czechosłowacji, która przeżywał wtedy dubczekowską odwilż. Kiedy zorientował się, że nikt go nie szuka ani nie chce go zmusić do emigracji, nawiązał kontakt z Mieczysławem Rakowskim, szefem bardzo wpływowego wówczas tygodnika „Polityka". Rakowskiemu udało się uzyskać od Gomułki cofnięcie zakazu publikowania dla Urbana. W zamian wdzięczny niegdysiejszy wygnaniec z medialnych łamów uznał go za swojego patrona i zaczął publikować w „Polityce" - znów w dziwacznym, dość perwersyjnym stylu.

Urban pisał wówczas teksty atakujące Izrael. Po latach w rozmowie z Martą Stre- mecką przedstawiał to jako wyrafinowany plan: „Z jednej strony głaskałem tendencję moczarowską, ujadając na Izrael, z drugiej zrobiłem wyrazistą aluzję do spraw polskich [...], zacząłem od tego,

że syjonizm nie może funkcjonować w Polsce, że to nie jest ideologia podboju świata, tylko zamknięcia się w obrębie jednego narodu". Tyle Urban. Przekonanie, że ktoś mógł w agresywnym ataku na Izrael w tamtym czasie znaleźć aluzję do polityki Gomułki, to dobry przykład na to, jak Urban dbał o usprawiedliwianie koniunkturalizmu.

W życiu Urbana zaczęła się wówczas epoka polityki tekstów, które są powszechnie znane pod dziennikarskim pseudonimem Jerzy Kibic. Nie pisał o wielkiej polityce. Skupił się na skandalach obyczajowych, śmiesznostkach bytowania w Polsce Ludowej, a niekiedy opowiadaniach o rozmaitych kryminalnych skandalach.

W „Polityce" słynął z wyrafinowanych psikusów. Dariusz Fikus po latach wspominał, jak Urban przyprowadził do redakcji urodziwą dziewczynę, promując ją jako dziennikarską stażystkę. Jego koledzy redakcyjni dopiero po pewnym czasie odkryli, że była to napotkana przez Urbana na mieście hotelowa prostytutka.

W pisanych przez Urbana w tamtym czasie kawałkach na temat śmiesznostek życia PRL uważne oko zauważyć mogło jednak mroczne emocje. „Pamiętam jeszcze dawne felietony Jerzego Kibica z zapomnianych dziś »Kulis« - wspominał po śmierci Urbana Piotr Zaremba. - Czytywałem je w latach 70. Istotnie, sprawnie napisane, językiem bardziej pisarza niż dziennikarza. Nie wiem, na ile zmyślone, bo aż tyle kryminalnych historii w PRL się chyba nie zdarzało, ale z uderzającym wątkiem zabawy okrucieństwem. W tym była delikatna, umiejętnie sączona radość z ludzkiego upodlenia - niezależnie, czy Kibic opowiadał o kobiecie, którą ugryzł w pośladek szczur w biurowej toalecie, czy o mężu, który zamordował i pochował swoją ciężarną żonę - pamiętam obie te przypowiastki. Myślę, że to był mały odwet Urbana wymierzany ludziom. Bawiąc się bliźnimi i wyszydzając ich, zbierał pochwały. Niby tak jest z każdym satyrykiem. Wielu z nich okazuje jednak na koniec ośmieszonemu światu sympatię. Ale nie on. Powody, dla których mógł szukać odwetu, były rozmaite: pochodzenie, wygląd, kompleksy".

CORAZ BLIŻEJ SZCZYTU

Wejście do zespołu „Polityki" zbliżyło Urbana do aparatu władzy. Już nie smakowała mu niezależność od władzy, jak w czasach jego dziennikarskiej banicji w latach 60. Po latach tak pisał o zespole Rakowskiego: „Dla reszty prasy uchodziliśmy za ludzi godnych zazdrości, bo stosunkowo najbardziej wolnych. W swoich poczynaniach zawodowych uznawano nas za najlepsze pismo w całym obozie, majce kontakty światowe, bardzo prestiżowe i dające znakomity status społeczny i zawodowy. Nazywano nas bandą Rakowskiego. Byliśmy silni, zwarci i gotowi przeciwko wszystkim na zewnątrz".

Już niedługo tymi „na zewnątrz", którzy mogą zagrozić błogostanowi redakcji „Polityki", stały się Solidarność i Kościół, które to siły Urban uznał za zagrożenie swojego świata kategorii lux. I wtedy kpiarz i iro- nista nagle zawrzał gniewem. Z irytacją patrzył, jak PZPR dała się zepchnąć do defensywy w konfliktach z NSZZ „Solidarność". Postanowił pokazać władzy, że „wąsatej małpy", jak nazywał wówczas Wałęsę, nie należy się bać. Zaczął zastanawiać się, jak można pokazać na nowo „chamom", gdzie jest ich miejsce.

Gdy w obozie komunistycznej władzy w lutym 1981 r. na czoło wysunął się gen. Wojciech Jaruzelski, do którego jako wicepremier doszlusował Mieczysław Rakowski, Urban już wiedział, gdzie jego rady mogą się przydać. Ruszył na odsiecz nowej ekipie.

Urban zdawał się u schyłku życia przeżywać gorzkie dni. Trwanie u władzy PiS przez kolejne siedem lat doprowadzało go do wściekłości, ale był wobec tego procesu bezradny

Fenomen Jerzego Urbana rzadko bywa głębiej analizowany. Albo spotykamy się z bardzo emocjonalnymi potępieniami, albo - jak po jego niedawnej śmierci - z podkreślaniem jego dziennikarskiego, publicystycznego talentu czy ponadprzeciętnej inteligencji. Najmniej jest jednak chłodnych analiz tego, dlaczego czołowy propagandzista ekipy Jaruzelskiego przyjął na siebie rolę ni to błazna, ni to herolda kłamstwa i dlaczego po 1989 r. nie tylko postkomuniści, lecz także ludzie zaangażowani w ruch Solidarności nagle zapałali do niego pozytywnymi uczuciami.

Niedawny pogrzeb Jerzego Urbana, na którym przemawiał Aleksander Kwaśniewski i w którym uczestniczył Adam Michnik, mówi nam bardzo wiele nie tylko o istocie PRL, lecz także o ciągłości między „postępowymi" elitami w epoce Polski Ludowej i w czasach III RP.

KŁAMSTWO JAKO SPOSÓB ŻYCIA

„Lubię być nielubiany. Oczywiście kreacja złego Urbana jest trochę udawana, trochę nieudawana" - te słowa wypowiedział były rzecznik rządu PRL w wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Martę Stremecką w 2013 r.

Tę perwersyjną przyjemność z bycia znienawidzonym rozwijał w sobie równolegle do rozwijania swej maniery publicystycznej. Jak mówił w jednym z wywiadów: „Mnóstwo ludzi publicznie jest bardzo układnych, a potrzebę agresji odreagowują w domu. Ja agresywnie piszę. Dlatego w kontaktach z ludźmi jestem mało wyrazisty, spokojny, grzeczny, umiem się przystosować do środowisk i miejsc pracy. Wyładowuję się na ludziach i kierunkach politycznych, które mi się nie podobają".

Urban wypowiedział te słowa w 2013 r. i młodsi czytelnicy mogliby uwierzyć, że zawsze był zadzierżysty politycznie. Jest to

oczywiście mistyfikacja Urbana. W czasach gomułkowskiego i gierkowskiego PRL strach o własną skórę powstrzymywał go przed pisaniem o polityce. Jeśli bywał okrutny i bezlitosny, to opisując rozmaite ciekawe przypadki, które dotykały zwykłych obywateli Polski Ludowej. I wtedy rzeczywiście bywał wobec swoich bohaterów bezlitosny. Ale w 1981 r. jakaś siła pchnęła go do polityki. Jaka?

W poprzednim odcinku pisałem już, że dla Urbana życiowa stabilizacja w dziennikarstwie zaczęła się wraz z wejściem do redakcji tygodnika „Polityka". To pismo było odpowiednio ustawione w establishmencie PZPR, a jednocześnie było na tyle, na ile można było sobie pozwolić, umiarkowanie liberalne i prozachodnie. I to był dla Urbana ideał szczęścia. Ale gdy zaczęła się druga połowa lat 70., jego azyl zaczął odczuwać polityczne ruchy tektoniczne. Urban z niepokojem odkrywa, że w tygodniku „Polityka" - jego wymarzonym dziennikarskim „hotelu klasy lux" - niektórzy goście zaczynają rozglądać się za opozycją. Nawet po wielu latach Urban oburzał się, że Dariusz Fikus zamieszczał wtedy w podziemnych pisemkach swoje teksty zdjęte przez cenzurę, jak zaznaczał zjadliwie Urban, „oczywiście z adnotacją, że zamieszczone są bez wiedzy autora". W innej wypowiedzi bohater tego tekstu oburzał się, że „Krallówna [Hanna Krall] chodziła gdzieś tam po księżach z Kieślowskim".

To rozczarowanie „Polityką", a po wybuchu Solidarności lęk przed eksplozją aktywności „narodowo-katolickich mas" pchnęły go do obozu gen. Jaruzelskiego. Przewodnikiem w tej podróży do oblężonej PZPR-owskiej twierdzy był jego patron z „Polityki" Mieczysław Rakowski, który właśnie objął funkcję wicepremiera u boku premiera Wojciecha Jaruzelskiego. I wtedy Urban odkrył, że wśród medialnie ślepych komunistów on, jako jednooki, jest królem. Zżymał się na defensywną postawę partyjnych i dokonał swoistego kopernikańskiego odkrycia - jeśli kłamać, to już na sporą skalę.

Swój chrzest bojowy na tym polu przeszedł w sierpniu 1981 r., kiedy po raz pierwszy uczestniczył, jeszcze jedynie jako doradca premiera, w jednej z tur negocjacji między rządem PRL a NSZZ „Solidarność". Późną nocą, gdy skończono bez efektów rozmowy z Solidarnością i gdy przedstawiciele Związku nie podpisali wspólnie zredagowanego komunikatu, obie strony były zmęczone i poszły spać. Tyle że Urban przekonał Rakowskiego, że jeszcze w nocy trzeba szybko wydać oświadczenie, iż to Solidarność zerwała rozmowy. Komunikat o takiej treści był odczytywany w radiu co godzina od szóstej rano.

Solidarnościowy rzecznik Janusz Onyszkiewicz to dementował, ale było już za późno. Powstało wrażenie, że to

Solidarność nie chce porozumienia. Urban po latach szczycił się tym kłamstwem: „Chodziło mi o to, żeby zepchnąć Solidarność do defensywy. Naród się dowiedział, że rząd chce się dogadać, chce porozumienia, a tu proszę. Solidarność zrywa rozmowy. To oczywiście była manipulacja, ale jestem z niej bardzo zadowolony [...]. Ten komunikat miał wielkie znaczenie dla aparatu partyjnego w całym kraju. Dał przynajmniej psychologiczną przewagę, wytrącił z marazmu nieustannie przegrywających ludzi".

Urban był więc elementem, który wzmocnił w czołówce PZPR wolę pokonania Solidarności. Były bywalec warszawskich salonów puszczał oko do prostackich sekretarzy wojewódzkich partii komunistycznej, dając do zrozumienia: „I wy, i ja chcemy zachować świat, w którym jesteśmy uprzywilejowaną elitą. Za wami stoi siła polityczna esbecka i wojskowa, a ja wiem, jak otumanić ludzi. Jak pchnąć społeczeństwo ku depresji".

I tak się dokładnie stało. Urban doradzał Jaruzelskiemu kreowanie dziesiątek konfliktów z Solidarnością w taki sposób, by związek tracił swój autorytet jako siła ofensywna. Ekipa komunistyczna dorzuciła do tego jeszcze pogorszenie sytuacji rynkowej w kwestii wyżywienia. Ludzie, marnując coraz więcej czasu na zdobycie podstawowych produktów życiowych, gorzknieli i odchodzili od idealistycznego klimatu zachłyśnięcia się wolnością. 0 samym - jak twierdzi Urban - planie wprowadzenia stanu wojennego nic nie wiedział. Można mu ufać, gdyż tępogłowy aparat wciąż jeszcze nieufnie patrzył na niegdysiejszego quasi-opozycjonistę. Oczywiście Urban był na tyle inteligentny, by zauważyć, że w gabinecie Jaruzelskiego coraz częściej przesiadują generałowie, a resztę potrafił I

I sobie odcyfrować z aluzji swego przyjaciela Mieczysława Rakowskiego.

CORRIDA „USZATKA"

Po 13 grudnia Urban postanawia zorganizować konferencję prasową dla zagranicznej prasy. Dla tępogłowego aparatu był to jakiś dziwaczny show, w którym przedstawiciel władzy cacka się z zachodnimi żurnalistami, którzy w ich opinii byli po prostu przebranymi agentami zachodnich służb specjalnych. Urban wspomina: „(Jaruzelski) na początku był bardzo niezadowolony z tego, jak wyglądam i jak się zachowuję. Że jestem łysy, gruby, a powinienem być wysokim blondynem. Że majtam nogami pod stołem, że jestem jakiś luzacki i że bawię się długopisem, a nawet papierosem [...]. Ja to zlekceważyłem, bo poczułem, że właśnie przy tej sztywnej władzy pewne luzactwo i niestosowanie się do norm, jakie przewidywała ówczesna telewizja, to jest moja siła. Po jakimś czasie Jaruzelski to zrozumiał i uznał, że w ogóle się do mnie nie należy wtrącać".

Urban sam po latach wyznawał, że wykreował sobie dobrze przemyślaną rolę. Postanowił, że Jaruzelski będzie dobrym policjantem, a on będzie tym złym. Wspomina: „Miałem poczucie, że jestem wojownikiem, że istnieje na tym froncie, w tej armii, do której się zaciągnąłem, podział broni. Jaruzelski mówi słodkie słowa, ja jestem od przywalania. Mnie ta rola odpowiadała, bo lubię przywalać".

Urban wiedział, że jego nowa taktyka ma w sobie pewną diabelską siłę. O ile wcześniejsze ekipy zanudzały widzów gładką mową-trawą, w której opowiadano, jak wspaniały jest socjalizm i jak ludzie dobrze żyją, o tyle on przyjął taktykę brutalnego realizmu. Dawał Polakom do zrozumienia: „Nie będę was przekonywał, że jesteśmy aniołami. Nie chcę, żebyście nas kochali, ważne, byście się nas bali. My damy sobie radę". Stąd jego słynne słowa o tym, że „rząd się sam wyżywi". Niosły one ze sobą prosty przekaz: „Albo dostosujecie się do naszych żądań, albo zdechniecie z głodu".

Wprowadził też do walki z opozycją instytucje osobistych ataków publicystycznych wobec osób, które reżim uznawał za wyjątkowo groźne. Urban wykorzystywał do tego celu felietony pisane pod różnymi pseudonimami, ale powszechnie rozpoznawane jako jego utwory. Ta pasja w poniżaniu i tak już inwigilowanych oraz prześladowanych przeciwników była wtedy czymś nowym, mającym precedensy tylko w kampaniach gazetowych z lat stalinowskich i Marca '68.

Na zawsze nazwisko Urbana będzie kojarzyć się z obrażaniem poetki Barbary Sadowskiej, matki zamordowanego w 1983 r. licealisty Grzegorza Przemyka, i z kampanią przeciw ks. Jerzemu Popie- htszce. Kampanią, która zakończyła się mordem na odważnym kapłanie.

Kolejną cechą jego propagandy była linia, którą nazwano po latach panświnizmem. Była to wizja świata, w której nie ma pozytywnych bohaterów, a jedni i drudzy uczestnicy konfliktu są siebie warci. Władza, owszem, jest nieprzyjemna, ale Solidarność była głupia, nierealistyczna i mająca swoje liczne grzeszki. Stąd kpiny z tych, którzy rzekomo marzyli o tym, by być internowani, a władza się nimi nie zainteresowała. Stąd opowieść o płk. Ryszardzie Kuklińskim, który znał plany wprowadzenia stanu wojennego i przekazał je Amerykanom, ale nie ostrzegł Solidarności. Stąd snute z chęcią przez Urbana aluzje na temat rzeki dolarów, która płynie do podziemnej Solidarności, za którą to „podziemni pseudobohaterowie" kupują sobie papierosy w pewexie, piją drogą whisky i zaciągają do łóżka naiwne solidarnościowe łączniczki.

Konferencje Urbana jako dziwaczny, ale atrakcyjny show przyciągały uwagę wielu Polaków. Odreagowywali oni wyrzuty sumienia z powodu oglądania tego widowiska poprzez dowcipy o uszach Urbana, ale w istocie wielu widzów „łykało" podświadomie zatruty przekaz medialnego lucyfera. Ten wpływ Urbana na ludzi owocował powolnym odpływaniem mobilizacji społecznej z okresu tuż po 13 grudnia. Był alibi dla cichych solidarnościowych apostazji - decyzji o wyjeździe za granicę, wycofaniu się z płacenia składek związkowych czy zwykłego zaszycia się w wewnętrzną emigrację.

Dla władz, które ciągle obawiały się jakiejś wielkiej mobilizacji społecznej, takie uspokojenie nastrojów było jak tlen dla osoby, która się dusi.

Urban pozował na wielkiego kpiarza, ale w stosunku do samego siebie nie miał dystansu. Bardzo pouczająca jest historia opowiedziana niedawno przez pisarza Bohdana Wrocławskiego. Założył on w piwnicy w Warszawskim Domu Kultury Kolejarzy - Piwnicę Literacką. Jak wspominał: „Zaczęły się koncerty, bilety były wyprzedawane na pół roku do przodu, aliści na jeden z koncertów przyczołgali się obywatele Jerzy Urban i Leszek Żuliński [literat posłuszny ówczesnym władzom - przyp. P.S.]".

Jak wspomina Wrocławski, jeden skecz Piwnicy był parodią Urbanowskich konferencji prasowych. Gdy zobaczył to Jan Himilsbach, orzekł, że czarno widzi dalszą przyszłość istnienia Piwnicy. Zaniepokojony Wrocławski zapytał Urbana, czy czuje się urażony skeczem. „Ależ skąd, przecież to zabawa" - odpowiedzieć miał Urban. Jak wspomina Wrocławski - dwa dni później Piwnicę z rozkazu władz zamknięto.

Wygaszenie solidarnościowego żaru lat 1981-1984 miało też dla Urbana niezbyt miłe konsekwencje. Władza, owszem, zatrzymała groźbę wybuchu społecznego pod hasłem „Zima wasza, wiosna nasza", ale Polska pogrążała się w letargu i ekonomicznej beznadziei. Urban pytany przez Martę Stremecką, dlaczego mimo to tkwił w obozie władzy, odpowiadał: „Bo władza wciąga. Być blisko osoby, która podejmuje decyzje dotyczące milionów ludzi, bardzo rajcuje. Ja jednak od roku 1986 wiedziałem, że mój udział w rządzie dobiegnie rychło końca. Wiedziałem, że moje nazwisko stanowi symbol walki z opozycją. Natomiast wewnątrz struktury władzy działałem na rzecz porozumienia z opozycją i demokratyzacji. Wiedziałem, że ziszczenie się tych dążeń to mój koniec, bo Urban będzie balastem politycznym".

NOWA WSPANIAŁA EPOKA

Trudno mi nie odnieść wrażenia, że Urban w tym momencie - zgodnie ze swoją starą naturą - po prostu okłamał Martę Stremecką. Przy swojej inteligencji dobrze rozumiał, że lepiej przedstawić się jako ofiara Okrągłego Stołu, a nie jego faktyczny aranżer. Bo to Urban odkrył pierwszy, że wielu czołowych negocjatorów Solidarności, takich jak Bronisław Geremek czy

Jacek Kuroń, spotykając się na rozmowie ze swoimi partnerami, takimi jak prof. Janusz Reykowski czy minister Stanisław Ciosek, odnajduje w nich swoich dawnych kolegów z komunistycznego ZMP. A w wypadku ciut młodszego pokolenia, symbolizowanego przez Adama Michnika, przedstawiciele lewicy solidarnościowej przyjmują z uwagą sączoną przez komunistów przestrogę: „Jeśli nas całkowicie wytniecie z życia publicznego, to staniecie naprzeciwko masom solidarnościowym, które łatwo ulec mogą władzy Kościoła i ksenofobicznemu szowinizmowi".

To przesłanie Adam Michnik potraktował bardzo serio, a Urban rozumiał, że to właśnie otoczony mitem antykomunistycznego wojownika przyszły redaktor „Gazety Wyborczej" będzie najodpowiedniejszym kandydatem do rozgrzeszenia jego osoby. Tyle tylko, że musi znowu zmienić swoją rolę. Zniknąć ż czołówki partii postkomunistycznej powstałej na gruzach PZPR i stać się drugim Michnikiem. Otoczony powszechną miłością intelektualistów „Adaś" zgromadził wokół siebie inteligencję, która zerwała z komunizmem w latach 70. i 80., a Urban ze swoim „Nie" stał się znakiem nadziei i oporu dla wielomilionowej grupy ludzi, która ubabrana była w dawny system.

Wiedział, że „Nie" uzyska popularność, jeżeli odpowiednio wskrzesi się zawsze istniejące w społeczeństwie tendencje antyklerykalne. A Kościoła - i szerzej biorąc, chrześcijaństwa - Urban nie cierpiał od zawsze. W jednym z wywiadów mówił: „Dwóch rzeczy w sferze cudzych emocji nie rozumiem. I to nie jest w najmniejszym stopniu udawane, czyli religijności i sportu. Może

stąd moja zupełna niewrażliwość na Jana Pawła II i to, co się w Polsce wokół niego działo. Kompletnie nie czułem tych emocji, do dziś ich nie rozumiem. Nie umiałem w nim znaleźć ani wielkości, ani uroku".

Urban korzystał z ogólnego wówczas naiwnego przekonania, że komunizm upadł, a byli partyjni to życiowi rozbitkowie, których nie honor kopać. W istocie było zgoła inaczej. Ministerstwa obejmowali solidarnościowi amatorzy, a urzędnicy średniego szczebla z lubością wysyłali do redakcji „Nie" przy ul. Słonecznej w Warszawie informacje o licznych śmiesznostkach nowej władzy. Ale Urban wiedział, że oprócz antyklerykalizmu trzeba też podlać swoje pisemko quasi-pornograficznym sosem. I wszystko to działało. W swoich najlepszych latach 1991-1996 pismo miało nakład konkurujący z „Gazetą Wyborczą". Prawicowi analitycy załamywali ręce nad fenomenem, że ludzie, którzy wciąż jeszcze nie wyszli z nędzy spowodowanej przez PRL, w wielu wypadkach stawali się zapalonymi czytelnikami pisma Urbana.

Ale Urban oczywiście miał gdzieś swoich czytelników ze zbankrutowanych PGR-ów i likwidowanych fabryk. On aspirował do przyjaźni z Adamem Michnikiem czy Aleksandrem Kwaśniewskim. Ta przyjaźń z szefem „Gazety Wyborczej" długo była niezauważana, ponieważ otoczono ją zasłoną milczenia przez większość ówczesnych mediów. To dlatego moje i Jacka Kurskiego nagranie z przejażdżki Urbana z Michnikiem i Moniką Olejnik na wspólne bankietowanie dziwnym trafem akurat w dniu imienin Aleksandra Kwaśniewskiego wywołało tak wielki szok. Po prostu bardzo wielu Polaków w ogóle nie wiedziało o tym zbliżeniu różowych z czerwonymi i trzeba było krótkiego okresu, kiedy TVP nie była w rękach postkomunistów, aby ta prawda mogła wyjść na jaw.

Kres wszechwładzy Urbana i jego wspólnego z Michnikiem tworzenia wielkiego historycznego kompromisu miał miejsce w czasie afery Rywina. Potraktowany instrumentalnie przez Czarzastego i Millera Michnik zemścił się, ujawniając nagraną taśmę z rozmowy z Rywinem. I wtedy jeden jedyny raz Urban zapłonął gniewem. Według wiarygodnych relacji bardzo ostro zrugał Michnika za to, że ten wyciągnął tajemnice towarzystwa na widok gawiedzi.

Były rzecznik rządu PRL miał w tej kwestii rację. Sprawa Rywina bardzo zaszkodziła „Gazecie Wyborczej" i spowodowała wewnętrzne pęknięcie w SLD. Urban spróbował wtedy powrotu do roli demiurga politycznych procesów. Postanowił ukarać Millera za wywołanie całego tego zamieszania, które zaczęło się od wysłania Rywina do redakcji przy Czerskiej, zaangażował się w tworzenie nowej partii lewicy o nazwie Socjaldemokracja Polska, której frontmanem miał być Marek Borowski.

I wtedy wszechmocny szatan dekonstrukcji wykazał swoją fundamentalną słabość. Inicjatywa ponosi klapę. W 2005 r. Socjaldemokracja Polska nie przekracza nawet progu wyborczego. Nie było okazji do powtórzenia słynnej sceny z 1993 r., kiedy to zdjęcie Urbana pokazującego język i otwierającego ogromną butlę szampana stało się symbolem powrotu postkomunistów do władzy po czterech latach politycznego przełomu z 1989 r.

Jedyne, co wychodziło Urbanowi w życiu, to wyszydzanie innych, rozbijanie ich jedności i przekonywanie ludzi, że zło zwycięża. Ale w roli kreatora czegoś pozytywnego, nawet w postaci nowej partii lewicy, Jerzy Urban był zaskakująco słabiutki. Nowy twór, który chciał wykreować pod wodzą Borowskiego, okazał się kruchą roślinką, a już parę lat później scenę polityczną wypełniło dwóch aktorów: Jarosław Kaczyński i Donald Tusk.

Urban przełknął porażkę. Skupił się na tym, co potrafił najlepiej. Czyli na zaprzysięgłej walce propagandowej przeciwko Kościołowi oraz partii Prawo i Sprawiedliwość. Ale Urban jakby sam tracił zapał do swych krucjat. Stał się znudzonym szatanem, któremu zaczyna doskwierać zdrowie. Niezależnie od jego spleenu filmiki z jego głupawymi żartami zdobywały popularność u młodych urodzonych po upadku PRL. Im Urban kojarzył się z rolą zabawnego staruszka, który dowcipnie dowala nielubianym „czarnym".

W momencie śmierci Jerzego Urbana te dwie grupy wylewają dziś łzy. Były opozycjonista Waldemar Kuczyński pochwalił się alkoholowym wieczorem z Urbanem, reżyserka telewizyjna Olga Lipińska ogłosiła Urbana „jednym z najświatlejszych umysłów" w Polsce, a młoda lewica ogłosiła Jerzego Urbana „ikoną dziennikarstwa i satyry". Ale mimo tych pochwał Urban zdawał się u schyłku życia prze1 żywać gorzkie dni. Trwanie u władzy PiS przez kolejne siedem lat doprowadzało go do wściekłości, ale był wobec tego procesu bezradny. Także jego ukochane dziecko tygodnik „Nie" jest dziś cieniem dawnej potęgi. W sensie ideowym Urban znalazł następców mających podobną obsesję na punkcie Kościoła i szukania faszyzmu na prawicy. Smok zanim odszedł - złożył kolejne jaja nienawiści.

Małgorzata Daniszewska o mężu: Łysy walnął w kalendarz

